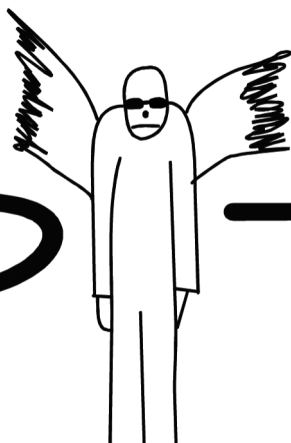


ŁÓP



TAK

18 października 2009

nr 3

TEATR iKROPKA *Sza...*

DYWAGACJE NA TEMAT TRUDNEGO DZIECIŃSTWA

Stare szafy są fascynujące. W dzieciństwie też pociągały mnie ich tajemnicze wnętrza. Niejednokrotnie chowałem się do ich wnętrza przed światem. Znajdowałem tam moment poczucia bezpieczeństwa. Jednakże chęć ucieczki nie trwała nigdy długo. Narastało za to poczucie ciasnoty i zaduchu, z którego należało się jak najszybciej wyrwać.

Te wspomnienia bardzo pasują do moich odczuć, jakie wyniosłem ze spektaklu Teatru iKropka – wprawdzie zainteresowanie, później narastająca klaustrofobia.

Pomysł z tym, aby z perspektywy szafy popatrzeć na życiowe problemy nastolatki sam w sobie jest ciekawy. Odniosłem jednak wrażenie, że obie warstwy – ta metaforyczna i ta egzystencjalna – nie bardzo do siebie przystają. Szafa w nikły zaledwie sposób wiąże się z rodzinnym i osobistym dramatem bohaterki. Opowiedziano go z resztą w dwóch planach: scenicznym i multimedialnym. Z grubsza rzecz biorąc, to te plany narracyjne bardziej „kleiły się” ze wspomnianymi warstwami. I właściwie to na nich należałoby się skupić. To właśnie osobista wypowiedź aktorki – zarówno wtedy, gdy stoi przed widzami jak i wtedy, gdy jest wyświetlana z rzutnika na frankach, płachtach czy kostiumach – powinna stanowić punkt ciężkości „Sza...”. A jednak, przez te nieszczęsne dywagacje na temat szafy, zeszła na plan boczny. Niezbyt zrozumiała zamiana. Gdyby nie ten problem, to równie prostymi, acz klarownymi, środkami jak te, użyte w spektaklu, można by było osiągnąć znacznie więcej. Choć nie ma też co ukrywać: przydałoby się więcej ekspresji. Znacznie lepiej przykuwałoby to uwagę widza.

Wybrany temat nie podlega dyskusji. Prawda, że nie byłem w stanie utożsamić się z nimi, wydały mi się więc banalne, ale zdaję sobie sprawę, iż nie jestem właściwym widzem „Sza...”. Bo założony odbiorca jest jasno określony – to inna nastolatka, której zasób doświadczeń, sposób emocjonalnego odbioru etc. bardziej niż mnie uprawnia do właściwej oceny działania Teatru iKropka.

Luc Cephyrus

SZAFKA ZA POETYCKA

Jest takie hasło-wytrych, o którym Piotr Cieplak powiedział kiedyś z przekąsem, że jak się je słyszy, to ręce opadają i w ogóle nie wiadomo co z tym zrobić. Teatr poety-

cki. Określenie to faktycznie wywołuje jakąś niezręczność, może nawet kojarzyć się z akademicką ramotą, tanim sentymentalizmem – co rzecz jasna nie dyskwalifikuje go jako zjawisko bezwartościowe. Istnieją teatry, które mówią językiem poezji w szerokim tego słowa znaczeniu i nieraz potrafią ulecieć w tej formule bardzo wysoko. Trzeba na to błyskotliwego pomysłu, sprawnej reżyserii i dużej świadomości aktorów w jakiej to sprawie wypowiadają tekst.

Taki właśnie – chyba poetycki – teatr zaproponował



zespół iKropka. Aktorzy próbują opowiedzieć o swoich lękach, uczuciach – jak podejrzewam, poprzez realne historie wzięte ze swojego życia. Tutaj rozpoetyzowanie formy – głównie z winy zbyt „pięknie” wypowiadanego tekstu, stało na przeszkodzie w komunikacji z publicznością. Zabrakło tu też silnego pomysłu i przygotowania aktorów – na tyle, że historia nastoletnich dziewczyn opowiedziana przez metaforę szafy (czy raczej „sza... fy”) jako przejścia w świat dorosłości, zwyczajnie nie chce obchodzić.

Szymon Kazimierczak

PIASTOWY DZIADEK PSZCZÓŁKA MAJA

Widoczny potencjał bajkowy. Całość nieśmiało próbuje nawet gospodarować uwagą widza, w sposób, dający się ciasno zmieścić w kategorii metod dążących do humanitarnych. Niepokoi pewien zawieszony odcień cukierkowości i mocno przewidywalne zagrania. Nie udało mi się doszukać tytułowych uczuć w jakości przewyższającej serijne „filmy” produkowane przez Disneya właśnie. Ach, i myślę, że nie warto opierać konstrukcji scenografii na flagowych produktach papierniczych, które nazwiskami swymi firmują Mordechaj Falist i Stjopa Karbovan*.

* tektura falista i bibuła karbowana w scenie pudełkowej

fox

**LUX PERPETUA**

W porównaniu do tego, co Teatr Trzcina przedstawił w ubiegłym roku, widać wyraźny postęp. „Uczucia w pięciu odsłonach” posiadały jakąś nadającą się do interpretacji treść. Historia bardzo ogólna, ale może to jest jej dobrą stroną. Moralitet, symboliczne przedstawienie życiowej drogi – od narodzin do śmierci – jest dość wdzięcznym tematem dla teatru tańca. Fakt, że sam układ scen nie był równy, tak jak i nie wszyscy tancerze pracowali na tym samym poziomie.

Prześledźmy to przez chwilę. Początek z demoniczną introdukcją oraz prostą, ale ładną sceną narodzin dawał nadzieję, że spektakl przebiegnie bardzo gładko. Niestety zaraz po tym nastąpiła statyczna i, niestety, beznamiętna chwila miłosnych uniesień. Rytm przedstawienia dopiero co się wyklarował, a już wyraźnie siadł. Nieco lepiej poszło ze zdradą, odrzuceniem i sprzedaniem. Bardzo dobrze wypadły czworonożne harpie biegające po scenie i Gnijąca Panna Młoda, mająca pewnie obrazować Śmierć.

Poza jednym potknięciem: nie bardzo za to poszło jej z pakowaniem głównej bohaterki do pudła. Z jakichś przyczyn jedno ze skrzydeł wieka nie mogło się zamknąć. Aktorka nie ograła tego momentu i udawała, że zamyka obydwie. Wyraźnie mechanistyczny, pamięciowy ruch był tu

zauważalny i nie prezentował się dobrze. Tę samą wpadkę zaliczyła z resztą Biała Postać, która na zakończenie przedstawienia wyjmowała z kolei główną bohaterkę z pudła. Znaczenie Białej Postaci jest w tym wszystkim dość niejasne. Czy jest aniołem? Panem Bogiem w żeńskiej formie? A może Duszą Świętą? W każdym razie jest to jakaś persona spoza świata, prowadząca zapewne bohaterkę ku światłości wiekuistej.

Luc Cephyrus

AUTORSKA GRUPA TEATRALNO-KABARETOWA A.K.K. PLONS Cha cha cha**CHŁODNYM OKIEM**

Występ Autorskiej Grupy Teatralno-Kabaretowej PLONS poprzedzała nader tajemnicza aura tworzona przez niejasne sugestie, drobne prośby zanoszone do Redakcji „Łóptaka” o to, aby ewentualne okrucieństwo recenzentów nie kumulowało się właśnie na tych wykonawcach i tym podobne półsłówka. Wstępna informacja nt. spektaklu nie przedstawiała się zbyt ciekawie. Na ŁÓPTA kabaretowe popisy nigdy nie cieszyły się poważaniem, bo, pomimo otwartej formuły przeglądu, utarło się, że docenia się tu przedstawienia offowe, zakorzenione w tradycjach teatru alternatywnego oraz to, iż premiowane jest społeczne zaangażowanie, a nawet przejawy buntu. Tymczasem można było wywnioskować, że to, co ujrzymy trzeciego dnia festiwalu na Dużej Sali Kina ŁDK, nijak nie będzie zbiegać się z owymi preferencjami.

Nie powiem, że szedłem na ten występ z wielką ciekawością. Szedłem tam z poczucia obowiązku, opancerzony

przeświadczeniem, że nie pozwolę sobie na utratę zimnej krwi.

Faktem jest, że konwencja, w jakiej zrobiona została „Cha cha cha” nie jest czymś, co mnie pociąga. Jest za to mocno zakorzeniona w tradycji polskiej popkultury. Tradycji sięgającej „Spotkań z balladą” z PRL-owskiej telewizji i mającej się całkiem dobrze. Nie będę więc rozwodził się nad fabułą – całkiem z resztą prościutką. Trzy wiejskie baby chcą nauczyć się tańczyć latynoamerykańskie tańce w nadziei, że umożliwi im to dostanie się do telewizyjnego show. To, co przede wszystkim zwróciło moją uwagę, to fakt, że oglądam bardzo dobrze i bardzo czysto zagrane przedstawienie. Co z tego, że nie w preferowanej konwencji? Nie zmienia to sprawy, iż przyjemnie było patrzeć jak aktorzy radzą sobie z przestrzenią sceny, rekwizytami, światłem, tekstem, dykcją, stylizacją językową (w dzisiejszych czasach chyba tylko etnolingwiści potrafią płynnie mówić gwarą ludową – no i właśnie Kabaret PLONS), nie

mówiąc już o ruchu scenicznym. Wszystko to dawało wrażenie naturalności, niewymuszenia, podczas gdy grając tego typu rzeczy zazwyczaj wpada się w jakąś niemiłą manierę wymuszonej przaśności. Tu nic z tych rzeczy. Miało być przańnie i śmiesznie, i zapewne było. Piszę zapewne, bo wszak zazaczyłem już, że nie jestem widzem tego typu kabaretów. Ale nie trudno było zauważyć, że część publiczności, offowego festiwalu, której też nie jest po drodze do tego typu form scenicznych, całkiem dobrze się bawiła. Salw śmiechu nie było, ale aktorzy byli kilkakrotnie nagradzani brawami w trakcie swojego występu. A to, w takiej sytuacji, dużo.

Siemion Karbovan



W RYTMIE CZACZA

Płasy mają w historii narodu, a zwłaszcza w historii teatru tego narodu, sporą tradycję. Być może pamiętamy jeszcze, jak płały czarownice podczas bachaiczno-druidycznych sabatów na Łysej Górze, wciąż odczuwamy przyplawy i odpływy przepląsowania się ponurych żywiołów natury ludzkiej, od czasu do czasu płały się też zakręty historii. Lecz dziś na scenie dużego kina ŁDK, nie było mowy o przypadkowym płaśniu, gdyż mieliśmy do czynienia z kilkoma driadami Autorskiej Grupy Teatralno-Kabaretowej PLONS. I jak to zazwyczaj bywa z płaśnieniem driad, było różnorodnie: raz w tanecznym rytmie tytułowej czaczy, innym razem znacznie spokojniej (a spokój brał się z naruszenia horyzontu wynikającego z nadużywania nalewki na landrynkach malinowych). Jeśli nie chcemy popełnić kronikarskich błędów, tę opowieść o płaśniu winno poprzedzać, stanowczo postawione pytanie: Co też

nam owe driady na scenie wypląsały? Z reakcji publiki wynikało, że śmiech z nutą zazdrosnej sympatii. Należy dodać, z kronikarską upierdliwością, że driady były w wieku, o który nie należy pytać, a mimo to pokazały energię oraz umiejętności nie zawsze dostrzegane u znacznie młodszych zespołów. Być może jest to powód, dlaczego driady nie znalazły aż tak wielu sympatyków w szerokim spektrum łóptowskiej dziatwy, na szczęście wykazały się przezornością i wypełniły dużą widownię kina dojrzałym targetem.

Co leguję własnym słowem, gdyż byłem tam i malinową siwuchę piłem.

Tymon

TEATR SOLILOQUIUM *Spal mnie*

PALENIE ZABIJA

Córka w ślubnej sukni, Matka, nieobecny Ojciec, nienarodzone dziecko – rzecz jest o rodzinie. W spektaklu Soliloquium mężczyźni nie mają twarzy – istnieją jedynie jako głosy puszczone z offu. Słyszymy pełne fałszywej troski, podszyte sadyzmem monologi Ojca i cyniczne, seksistowskie teksty Faceta. Metafora mężczyzn jako bezosobowej siły patriarchalnego świata i Rozpaczy, która – cytując Magdę Fertacz – ma twarz kobiety, nie została tu w moim odczuciu obroniona.

Dlatego głównie, że nie mogę uwierzyć około dwudziestoletnim aktorkom grającym bergmanowskie figury Matki i Córki – zwłaszcza gdy, przeciwko ich warunkom, wciąż akcentuje się za pomocą bardzo mocnych znaków ludzką fizjologię. Aktorki, jakkolwiek bardzo sprawne teatralnie, nie mogą ciężaru tych ról udźwignąć głównie w scenach obliczonych na naturalizm (np. w scenie erotycznej). Bardzo prawdziwie wypadają za to ich monologi przy mikrofonach. Aktorki zdejmują role i czytają kolejne strony scenariusza – bardzo piękne, mocne sceny.

Teatr Soliloquium wykonał sprawną, bardzo rzetelną teatralną robotę, prowokującą do myślenia, ale w moim odczuciu nie

do końca spełnioną. Rzecz się nie pointuje, zostawia widza w nerwowym oczekiwaniu na więcej.

Szymon Kazimierczak

CHARAKTERYSTYKA INSCENIZACJI

Spektaklowi jörmungardena (Piotra Grabowskiego) Teatru Soliloquium pod tytułem „Spal mnie” właściwie niewiele można zarzucić; klarowna inscenizacja, wręcz monotonna w swej precyzji – odczuwało się rękę inscenizatora wprawnie prowadzącego opowieść. Jedyna wątpliwość, która zaczęła przekornie ujawniać się w trakcie kontemplacji, raczej nie wynikała z natury narracji, lecz z wyraźnie rysującej się, niechętniej postawy inscenizatora wobec ironii. W permanentnie ponurej atmosferze czuło się potrzebę przełamania, zastosowania czegoś w kontrze, czegoś co podbije walory przedstawianej dramy. Niepokojący ciężar swoistej scenicznej masturbacji, odsłaniał ponure oblicze z każdą kolejną sceną: lesbijski seks między matką a córką – jako punkt wyjścia, kończy obciążona równie głębokimi rysami znaczeń, projekcja potwornego



„dwugłowego Jezusa”. Pozbycie się wyraźnych akcentów (przypominało kardiograficzny wykres trupa) wyraźnie osłabiało rytm odbioru spektaklu. Lecz propozycji Soliloquium, mimo owego charakterologicznego drobiazgu, nie

można plasować w przestrzeni nieistotnych, czy błahych, bo też poruszane problemy nie pozawalały na takową deprecjację.

Brian M.

TEATR WEJŚCIE EWAKUACYJNE *Po tamtej stronie marzeń*

Z INNEJ STRONY

Postrzeganie propozycji Teatru Wejście Ewakuacyjne pod tytułem „Po tamtej stronie marzeń” z estetycznego poziomu byłoby błędem, lecz na poziomie edukacyjnym na pewno trzyma się mocno. Większość dydaktycznych celów, opiekunce grupy, udało się zrealizować: uczestnicy, na każdym etapie prezentacji, raczej wiedzieli po co zjawili się na scenie. Nie obce im były również hasła: integracja i kooperacja. Pozostałe elementy także znalazły się na swoim miejscu – historia kalekiego dziecka, uwalnianego za pomocą leków z ponurej rzeczywistości kalectwa, obudowana została rozpoznawalnymi zabiegami inscenizacyjnymi, czytelnym działaniem aktorskim. Niestety, nie były wystarczające, by z beztrząsą wkroczyć w „ponurą” rzeczywistość teatralnego OFFu, a tym samym – przynajmniej w części – spełnić wymogi teatralnego przeglądu.

Brian M.

EWAKUACJA

Najchętniej przemilczałbym doświadczenie z „tamtą stroną marzeń”, jednak forma eksploatująca gotowy model wyciskacza łez pozostawia pewien niepokój.

Nie do przewyciężenia było wrażenie, że oglądam telewizyjny film obyczajowy. Towarzyszył mi obraz taniego bólu.

Merytorycznie nie tknięto nic, poza szczyptą potencjału zagadnienia. Płytkie liźnięcie tematu pozostawiło niedosyt zachęcający do ucieczki we własną sferę marzeń, w celu nie marnowania czasu.

Oprawa muzyczna działała raczej negatywnie, momentami nawet przedrzeźniając to, co dzieje się na scenie. Monumentalna i „duża” muzyka zdaje się przerastać rozmijający się z akcentami ruch, co przy oczywistym wykozystaniu taktowania choreografii muzyką boli.

fox

W POSZUKIWANIU NOWYCH PRZESTRZENI cz. II *W kontekstach POSTINDUSTRII*

FARBA, KARTKI I LEKKA ZADYMA

„W poszukiwaniu nowych przestrzeni” to projekt realizowany przy ŁÓPTA już drugi rok. Jego celem jest adaptowanie przestrzeni pozateatralnych do celów teatralnych właśnie. Za pierwszym razem były to działania koopera-

cyjne, w ramach których doświadczeni instruktorzy pracowali z ludźmi z teatrów innych niż te, którymi na co dzień się zajmują. Rok później, podczas wyprawy kolejną wąskotorową na trasie Rogów – Biała Rawska – Rogów, prezentowano etiudy powstałe na skutek współpracy poszczególnych zespołów offowych z Łodzi i okolic. W tym roku poszczególne zespoły (ale także i kooperacyjne grupy aktorów z różnych zespołów) przygotowywały swoje wystąpienia.

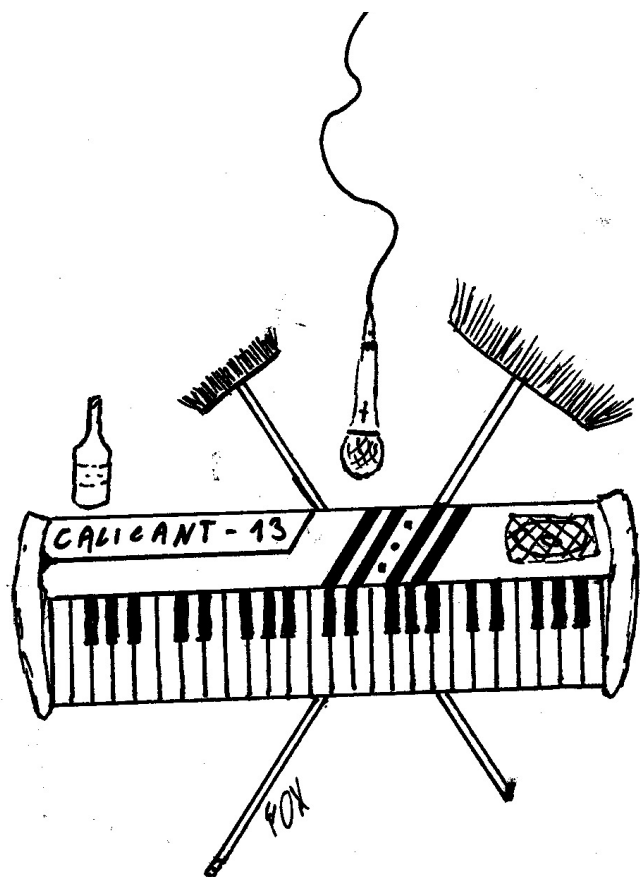
Drugiego dnia ŁÓPTA „nową przestrzenią” był Las Łagiewnicki. Dnia trzeciego – postindustrialna przestrzeń jednego z budynków Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej.

Prezentację rozpoczęły popisy studentów AHE, gospodarzy wydarzenia. Następnie wystąpiła Łódzka Scena Pantomimy.

Ich działanie wymagało niezłego poświęcenia. Nie dość, że sami występowali boso w nieogrzewanej hali, to zachęcili widzów by zdejmowali buty, wstępowali do miednic z farbą i przechadzali się po rozścielanym na podłodze białym płótnie. Okazało się, że wcale nietrudno było o chętnych.

Grupa Soliloquium zaproponowała dziecięcą grę memory, w której chodzi o znajdowanie par symboli narysowanych na ułożonych grzbietami do góry kartkach i zapamiętywaniu ich usytuowania. Wymagało to zaangażowania publiczności i drukarki komputerowej.

Kolejna akcja wymagała mniejszego udziału widzów. Połączone siły Teatru California, Poetyckiej Sceny Forum, Teatru Tańca Współczesnego PRO zainscenizowały opowieść opartą na wątku Romea i Julii za pomocą szczotek do podłogi, szufelek i płachty. Było to silnie zrytmizowane i pełne dynamiki. Dużym pozytywem był fakt, że część wi-



dzów miała całkiem dobrze wyglansowane buty. Mankamentem to, iż cały kurz z podłogi publiczność wyniosła na ubraniach, soczewkach kontaktowych i oskrzelach.

Verte, objawiło swe istnienie etiudą, której długość, niestety nie była powalająca (koledzy palacze nie zdąży-

li dopalić papierosków), ale też jej dychawiczna wartość, podana cicho, jakby astmatycznie (pewnie przez ten kurz), niewiele wniosła do dzisiejszych poszukiwań.

Iechak Falist & Siemion Karbovan

TEATR POD LUPĄ *Ślub*

2 x 2 ≠ 4

Praktykowanie podobieństw może okazać się ciekawą kanwą teatralnej przygody. O tyle intrygującej, gdy przy okazji wyłowi się kilka zakulisowych plotek, w których ujawniane są tajemnice reżyserskiego warsztatu. Z owych „donosów” wynikało, że Teresa Radzikowska zezwoliła na częściową swobodę w aktorskiej interpretacji spektaklu „Ślub”. Zabieg okazał się skuteczny, aktorzy podbudowani reżyserskim zaufaniem, ujawnili talenty improwizatorskie. Lecz raz przetarta droga interpretacji, rozlała swe niebezpieczne zarzewie także pośród publiczności, która jak można się domyślać, natychmiast przystąpiła do rozgryzania zawikłanej struktury spektaklu. Próbowano zgadywać, czy motywem łączącym obie sceny był problem z własnością dóbr ruchomych (lokaj), czy rzeczowych (przedmioty codziennego użytku), a może dziedzicznych

(kolor oczu, DNA etc.)? Nie mniej „pod lupą” Teatru znalazł się także nierozwikłany problem określenia czasu zdarzeń, a czasem i miejsca, gdyż zamiana miejsca poprzez zamianę wystroju pokoju nastąpiła znacznie wcześniej. I zgodnie z wygenerowaną w ten sposób zasadą podobieństwa, gdzieś pomiędzy pierwszą a drugą sceną, wypadła też zamiana ról (najpierw mężczyzna mówił tekst kobiety, by w drugiej części, posługiwać się tekstem mężczyzny, choć równie dobrze mogło być odwrotnie). Warto zwrócić uwagę na to, jak szybko została w tę subtelną grę wciągnięta publiczność. Można wręcz pokusić się o twierdzenie, że była to wyjątkowo sprytnie zaprojektowana i sprawnie przeprowadzona akcja dezinformacyjna.

Brian M.

TEATR CALIFORNIA *Why so serious?*

A PROPOS

Szkoda, że w czasach transformacji, młodzi ludzie muszą doświadczać odpadów przedustrojowej degrengolady świata dorosłych. Choć z drugiej strony, w jakimś cynicznym sensie, budowana jest w ten sposób ich społeczna świadomość. Pamiętajmy jednocześnie, że za chwilę to oni będą decydować o rzeczywistości również tych, którzy sknócili ich społeczną edukację.

Knocenie jest zresztą problemem całego-naszego środowiska artystycznego. Na przykład wciąż miarodajny jest wyłącznie papier – patrz dyplom ukończenia wyższej szkoły rzemieślniczej: aktorskiej, czy plastycznej, bądź muzycznej – a nie prawdziwy talent. A przecież od zarania dziejów świat dostarcza przykładów, że największą wartością jest zdrowa rywalizacja talentów, a nie promocja beztalencja, a także paradoksalnie: pieniądze, ale „robione” dzięki tym, których być może Bóg pozbawił kapitalistycznej przezorności, ale nie talentu.

To a propos Teatru California (choć nie California). Trzymam za Was kciuki.

Brian M.

Być może nie uwierzysz, ale są takie teatry, które nie mają prawa do własnych słów i pomysłów. Które tak bardzo chciałyby pokazać kim są, ale nie mogą. Tkwiemy w ciasnocie czyjś umysłu przerażeni tym, że kończy się nam powietrze.

Być może właśnie Twoje słowo otworzy nam drogę do tego, co powinno być główną cechą teatru niezależnego – WOLNOŚCI. Nie chcemy jednak pustych słów.

Jesteśmy jak chorzy na astmę. Choroba, która dopadła nas z zewnątrz, toczy nas od środka. Czas na nasze słowo, słowo w naszej obronie. Ale ile słów zdołamy wypowiedzieć, zanim choroba zawładnie do końca naszym oddechem? I jakie będą konsekwencje naszych ostatnich, tak ważnych słów?

My możemy powiedzieć niewiele, ale Ciebie nic nie krępuje...

TEATR POLITECHNIKI ŁÓDZKIEJ *Factory*

MARS NAPADA.

Zaczynając od narzędzia całkiem niecharakterystycznego dla 'złego redaktora', napiszę co mi się podobało. Podobało mi się jak lala w czarnych włoskach siedziała na lodówce. Jak ona siedziała, aż brak gronostaja kłuł niemilo..., kreując gustowny przycisk lodówkowy emanujący opiumowo butaprenowym grymasem twarzy. Przy delikatnej rekonstrukcji scenariusza, mogłaby partycypować w ciekawszym definitywnie działaniu minimalistycznym, służącym skupieniu uwagi widza na problemie stabilności emocjonalnej – poprzez zanegowanie, zaimplikowanej naturą rzeczy, dychotomii lodówkowych drzwi. Reszta ob-

sady zajęłaby zaszczytne miejsce w trzewiach lodówki.

Dobra. Było o niczym. Jednak denerwuje dość mocno zmarnowany potencjał (sprzętowy). Po spojrzeniu na sufit, można by oczekiwać co najmniej ciekawego wykorzystania zasobów technicznych. Tym bardziej, że zajście owo firmowane było marką Politechnika. Aż bolała partanina w oświetleniu i dźwięk na poziomie realizacyjnym ciecica z prowincjonalnego domu kultury. Wizualizacje nadrabiały lekko swoim efekciarstwem, ale przy podobno niezłym budźecie, można było chyba oszczędzić widzowi wiedzy o oprogramowaniu użytym do odtwarzania owych.

Jako technik, pozwoliłem zasugerować sobie co najmniej nienaganne wykonanie oprawy audiowizualnej. Rozczarowanie to uruchomiło w mózgu pewien przekaznik – bawiłem się zupełnie jak na zeszłorocznym (ŁST) Musicalu Disco Polo.

Gdzie tu wspólna część? Ano, przy sporym deficycie aktorstwa pojawia się niemała doza naturalności. Jakoś nie mogę oprzeć się przypisaniu dość szczerego maniery-

zmu aktorom, a nie postaciom – widoczne jest wtedy, subtelne może, ale jednak surfowanie po tej fali wzbudzonej gdzieś w środku realnej osoby.

Miałem wrażenie, że niski stopień parodii reality show wcale nie mierzi nikogo na scenie. „Bycie sztuką” korzystając z metody ‘Copiego – Paste’a’ nigdzie chyba nie prowadzi.

fox

Otwarte Forum Dyskusyjne

MATEMATYCZNA DOKŁADNOŚĆ, CZYLI OMÓWIENIA NA POLITECHNICIE

W pozornie mało kameralnej sali Politechniki miały miejsce rozmowy – moim zdaniem oczywiście – mądre i (jak na późną porę) ożywione. Omówienie spektaklu „Proste pytania” Grupy Produkcyjnej Respirator rozpoczęła Ania T. chwając przesłanie przedstawienia, a w szczególności pytania o ojca. Maciej Bartosz K. również zabrał głos twierdząc, że nie przeszkadzała mu pewna infantylna zadawanych pytań, bo to ważne je zadawać. Jadwiga Sącińska rzuciła kilka uwag o samej realizacji. Dlaczego sala nr 6? Zabiła intymność relacji między aktorami. Scena była niechlujna, światło oświetlało wszelkie jej niedoskonałości, zabrakło intymności fizycznej. Marian Glinkowski oglądał spektakl na macierzystej scenie i tam podobało się bardziej. Podkreślił jednak, że to ważne wydarzenie. Podziękował także Grzegorz Kwieciński, że pojawił się spektakl zadający ważne pytania. Następnie zalecił aktorowi wizytę u fryzjera, bo brakowało mu kontaktu wzrokowego. Robert Paluchowski był ani na tak, ani na nie. Nie było szukania nowych gestów teatralnych. Marcin Brzozowski „Miał stosunek ambiwalentny” (nie wiadomo z kim...) Podobała mu się obecność aktorki: szlachetna, czysta, świadomie „rezygnująca z teatru”. Konkluzja: chłopcy dojrzejają później (także teatralnie).

Jawnym zaprzeczeniem był Piotr Maszorek i spektakl „Kroiciel bułeczek”. Pytanie z widowni o inspiracje „Sweeney Todd” zostało skwitowane przez Macieja Bartosza Kruka, że to jednak inspiracja siostrą przekrawającą bułki tępym nożem. G.K. Pochwalił robotę teatralną: scenografię, ruch, poszczególne role. Jego marzeniem jest kolejny spektakl Californii o Nosferatu. Poczł bowiem niedosyt wampiryzmu. Jadwiga Sącińska pochwaliła wykorzystanie światła, były czarodziejskie. Dobrze operowano pauzą. Natomiast narratorka szamotała się po scenie. Marian Glinkowski widział siłę w realizacji, w zmiennych rytmach i świetnej reżyserii. Robert Paluchowski podchwycił temat w specyficznej dla siebie formie: „Nie lubię chwalić” – a jednak stwierdził, iż była to jedyna kompletna próba kreacji.

Spektakl Teatru iKropka dla Jadwigi Sącińskiej był okazją do refleksji o słowie wypowiedzianym w teatrze. Zakwestionowała podniesiony sposób mówienia. „Jest piękna pogoda” okazało się negatywnym przykładem. Padła

ogólna prośba o naturalność w mówieniu. Robert Paluchowski dodał od siebie metaforę książki, w której na każdej stronie zapisano osobne słowo – gubi się sens.

Uwaga rozmówców skierowała się na spektakl „Uczucia w pięciu odsłonach” Teatru Trzcina. Marcin Brzozowski przyrównał ich działanie teatralne do zawodów sportowych. Granie symbolem stało się jedynym sposobem gry. Robert Paluchowski zarzucił wytresowanie. Grzegorz Kwieciński pożałował wyrzuconego po spektaklu pudełka. Okazało się, że to grubsza sprawa. Opiekunka grupy podkreślała, że wyrzucili, bo to klasa maturalna. A poza tym dusza – jak i to pudełko – czasem też jest porwana. Kwieciński dociekał kwestii zadań aktorskich. Sącińska kontynuowała: komunikat musi być klarowny. Nie myśleć filologicznie, a problemowo. Marian Glinkowski postulował poszerzenie arsenału środków teatralnych.

Rozmowa dotknęła następnie „Spal mnie!” Teatru Soliloquium. Robert Paluchowski widział odwołania do Sarah Kane. Pochwalił dobrą konstrukcję spektaklu. Marcin Brzozowski przypomniał sobie swój trud wysłuchania monologu ojca, w którym przeszkadzał mu głos realnej postaci. J.S. kontynuowała dziękując za ogromną pracę. Zauważyła jednak, że finał był rozmyty, nachalny. Maciej Bartosz Kruk podziękował natomiast za bardzo osobiste przesłanie, ten spektakl prawie że poharatał jego duszę, jednakże gdzieś się energia rozplynęła.

Rozmowa o spektaklu Teatru Pod Lupą rozpoczęła się od wypowiedzi publiczności. Podobało się, ale powielenie scen nudziło, osłabiało puentę. Kilkukrotnie powtórzono pochwały wobec roli służącego. Robert Paluchowski zapytał o intencje twórców w doborze tekstów. Odpowiedź nie padła.

Rozmowa zeszła na boczne – a raczej na główne – tory w rozmowie o akcji Teatru California. Padło kilka deklaracji, ale najistotniejsze jest to, że odbyła się rozmowa o sprawach naprawdę ważnych. Szkoda, że poza tym wydarzeniem tak mało było okazji do rozmowy o zadaniach teatru.

WOLNOŚĆ!!!

Gospodarze omówień – Teatr Politechniki Łódzkiej – zostali zasypani nieco jednak zazdrosnymi uwagami na temat doskonałych warunków teatralnej roboty. Robert Paluchowski stwierdził ironicznie, że była to dla niego jedyna okazja, by zobaczyć taki teatr. Jadwiga Sącińska zaproponowała, stwierdzając że twórcy mają prawo do różnorodności poszukiwań. J.S. podziwiała staranność realizacji, jednak ubolewała nad przesłaniem, które się nie domknęło.

My się domykamy i doceniamy nocną aktywność publiki i jurorów...

Notowała: Anka Perek

Stopa:

Marcin Foks (red. prowadzący), Anka Perek, Rafał Zięba,
Tomek Konopka, Szymon Kazimierzczak,
rys.: Szymon Kazimierzczak, Maricen Foks
foto: Anka Perek, Marcin Wartalski